



Irena Matuszkiewicz

(ur. 1945) – ukończyła filologię polską na UMK w Toruniu oraz dziennikarskie studia podyplomowe na UAM w Poznaniu. Była dziennikarką tygodnika regionalnego „Kujawy”. Z powodu choroby zaprzestała pracy w redakcji i poświęciła się pisaniu. Jest autorką powieści: *Agencja złamanych serc* (2002), *Gry nie tylko miłosne* (2002), *Dziewczyny do wynajęcia* (2003), *Salonowe życie* (2004), *Seryjny narzeczony* (W.A.B. 2006), *Nie zabijać pajaków* (W.A.B. 2007) i *Czarna wdowa atakuje* (W.A.B. 2008).

e-mail: matuszkiewicz@interia.pl

ostatni sprawiedliwy

Irena Matuszkiewicz

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011
Wydanie I
Warszawa 2011

1

Dom pękał w szwach od gości. Co prawda zjechały raptem cztery osoby, jednak budynek był mały, wiekowy i miał prawo pękać. Jego właścicielka, Barbara Kurczyłówna, od lat nie wydawała przyjęć, bo też ludzie z jej pokolenia dawno zmienili ziemski żywot na inny, może nawet niebiański, więc pojawiali się jedynie w snach, czasem we wspomnieniach. Miesiąc wcześniej odszedł najstarszy brat, Władysław, senior rodu Kurczyłłów. Średni brat, Henryk, marynarz i obieżyświat, zmarł wiele lat temu, a Barbara, najmłodsza z rodzeństwa, przekroczyła dziewięćdziesiątkę i wciąż trwała na posterunku. Jako kobieta niezamężna i bezdzietna skierowała swoje uczucia na dzieci i wnuczęta braci. Czuła się potrzebna, ponieważ w swoim mniemaniu sprawowała funkcję strażniczki rodzinnych tradycji. Na odległość co prawda, ale z ogromnym zapałem ciotkowała i babkowała potomkom świętego rodu. W odpowiedzi na obszerne memoriały, dotyczące spraw rodzinnych bądź ogólnego zdżiczenia obyczajów, dostawała skromne karteczki

na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i czwartego grudnia na imieniny. I na tym właściwie skończyłyby się kontakty, gdyby nie Emilka, wnuczka Henryka, która żywo interesowała się losem staruszki, wpadała do niej dość często, a jeszcze częściej telefonowała.

Spóźnione rodzinne spotkanie związane było ze schedą po zmarłym Władysławie. Lada dzień majątek miał przejść w obce ręce, co Barbarę przejęło taką zgrozą, że zwołała rodzinny sejmik. Za namową mecenasa Lamety i przy pomocy opiekunki Haliny Lipki rozesała pięć listów do żyjących członków rodziny, a więc do dwójki dzieci swoich braci oraz do dzieci ich dzieci, czyli do przyszywanych wnucząt. Na apel babki odpowiedziały jedynie wnuczęta. Z Norwegii przyleciał Feliks, wnuk Władysława. Wnukowie Henryka mieli znacznie bliżej: z Ostródy przyjechał Leszek, a z Torunia jego siostra Emilka Korycka. Ta ostatnia nie ruszała się nigdzie bez męża Waldemara. Koryccy zjawili się u babki pierwsi i Emilka od progu zapowiedziała, że bierze na siebie obowiązki pani domu. Raz, że czuła się związana z babką bardziej niż kuzyni, a dwa, że lepiej od nich znała się na powlekaniu pościeli i szykowaniu śniadań. Oczywiście była jeszcze nieoceniona Halina Lipka, lecz ona miała sprawować pieczę nad staruszką, nie nad jej gośćmi. Zresztą Emilka i tak pięciu minut nie usiedziała spokojnie. Jeśli wierzyć jej mężowi, pod rudą strzechą loków palił się żywy ogień. Temperament i urodę Emilia odziedziczyła po ojcu, więc nie była zbyt podobna do Kurczyłłów. Prawdę mówiąc, nie była w ogóle podobna

do rodziny matki: ani po wierzchu, ani w środku. Kurczyłowie odznaczali się posturą słuszną, można powiedzieć, kwadratową, poruszali się i mówili ze spokojem i dystynkcją odziedziczoną po kresowych przodkach. Ojciec Emilii nie miał ze szlachecką sferą nic wspólnego, poza żoną, oczywiście. Córka wdała się w niego jota w jotę. Nie przywiązywała wagi do dóbr doczesnych, była radosna i energiczna. Jak pracowała, to pracowała, ale jak już się bawiła, to na całego.

Młodzi członkowie rodziny Kurczyłów zjeżdżali w czwartek i piątek, a na sobotę Emilka zaplanowała kolację w ogrodzie. Mieszki po opryskach właśnie wyzdychały, komary przymulone suszą wzięły na przeczekanie i można było spokojnie rozkoszować się wieczornym chłodem. Nikomu nie chciało się siedzieć w nagranych murach, nawet seniorce długowiecznego rodu, mimo że ostatnio wciąż narzekała na chłód.

W domu babki Barbary nie było urządzenia do grillowania, takiego najprostszego, na cienkich, chwiejnych nóżkach. Emilka wyznaczyła dwu ochotników i – nie bacząc na protesty ani na upał – wysłała ich do śródmieścia. Przykazała, by dodatkowo kupili węgiel drzewny oraz piwo – i więcej nie zawracała sobie głowy techniczną stroną przedsięwzięcia. Sama pobiegła po karczek i skrzydełka, a po drodze zajrzała do Bulwicznych, sąsiadów babki zza wschodniego płotu. Pożyczyła od nich kilka krzesełek ogrodowych, wymieniła najświeższe ploteczki oraz zaprosiła Jacka z Izą i wnukiem Danielem na wieczór. Bulwiczcy byli jedynymi sąsiadami,

których Barbara Kurczyłówna nie tylko poważała, ale także włączyła do rodziny, zachęcając, by nazywali ją babcią. Podobnego wyróżnienia nie dostąpili Cieplakowie, ci od strony zachodniej. Wystarczyło porównać żywopłoty: między Barbarą i Bulwickimi rosły niewysokie pięciorniki, a od strony Cieplaków kłębił się gąszcz leszczyny, zza którego nic nie było widać. Cieplakowie nie mieli prawa wstępu do ogrodu Barbary, gdzie rośliny rosły, jak same chciały, a najbujniej te dzikie. Obie posesje oddzielał mur zieleni, zza którego wyłaniały się fragmenty domu. Barbara popatrywała na ten budynek z wielką nostalgią.

Około szóstej wszystko było już przygotowane do ucztowania, łącznie z nowym grillem. Sąsiad Jacek Bulwicki nie bardzo się znał na przyjęciach ogrodowych, kiedy jednak Emilka wyznaczyła go na swojego pomocnika, zgodził się bez szemrania. Mimo gorąca machał szczypcami, zaglądał pod pokrywę i uwalniał zapachy przyprawiające głodnych o ślinotok. Był zapalonym myśliwym, a do tego gawędziarzem lubującym się w opowieściach ociekających posoką. Myśliwi kochają takie bajki i nic nie jest w stanie ich zniechęcić, nawet wstręt na twarzach słuchaczy. Bulwicki odgrywał scenę tropienia rannego koziołka, udawał, że strzela z metalowych szczypiec, i płaśwał wokół grilla w dzikim tańcu, który ogromnie się podobał sześciolletniemu Danielowi. Chłopiec kręcił się pod nogami, na krok nie chciał odejść od rozgrzanego piecyka i nic sobie nie robił z przerażonych okrzyków babci Izy w rodzaju: „Danielu, uważaj,

bo się poparzysz!” . Dopiero Leszek Kurczyłło spojrział na malca poważnie spod gęstych brwi i powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Albo idziesz stąd natychmiast, albo osobiście dopilnuję, żeby zaraz po kotletach dziadek ciebie ustrzelił i upiekł na ruszcie. Będziesz smakować jak małe kozłátko.

Daniel znał się na żartach, jednak zwiódła go sroga mina i kategoriyczny głos obcego pana. W sprzeczki wołał nie wchodzić, ale też nie chciał zbyt szybko kapitulować.

- Jestem cały w zarazkach, bo się dzisiaj nie myłem - zawołał.

Leszek wzruszył ramionami.

- Ogień zabije zarazki - wyjaśnił zwięźle. - Resztę załatwi pieprz.

Chłopiec odwrócił się na pięcie i pobiegł w głąb ogrodu. Nie był to dla niego teren zupełnie obcy, bywał u dziadków bardzo często, więc przy okazji przesiadywał z babcią Izą u sąsiadki zza płotu. Z wielką ciekawością patrzył na staruszkę, której młodość umiejscawiał mniej więcej w epoce lodowcowej. Próbował podpytywać ją o wędrownkę Manfreda, jednak przyszywana prababcia nie kojarzyła Manfreda z mamutem, przyjacielem Sida i Tygrysa, tylko z jakimś Mordredem, podobno siostrzeńcem króla Artura. Daniel jak dotąd nie słyssał o królu, a kiedy jeszcze się okazywało, że prababcia też nie znała tego Artura, tracił zainteresowanie dla przeszłości i oddawał się ciekawszym zajęciom.

Ledwie chłopiec zniknął w wysokim zielsku, Emilka się roześmiała.

- Ładnie to tak straszyć dzieci? - spytała.

Jej brat nie wyglądał na skruszonego.

- Nikogo nie straszyłem - wyjaśnił z powagą. - Postawiłem przed młodym alternatywę: albo sobie pójdzie, albo da się upiec. Jak widać, wybrał rozsądne wyjście.

- A gdyby wybrał mniej rozsądnie, to co byś zrobił? - dociekała Emilka.

- To już byłoby zmartwienie dziadka. Ja byłbym za upieczeniem.

- Pan oczywiście żartuje? - upewniła się Iza Bulwicka, babcia kandydata na pieczyste.

- A kto go tam wie! - wykrzyknęła rozbawiona Emilka. - To zawodowy policjant, i tak trzeba na niego patrzeć. Z kim on przestawał całe życie? Ze zbrojeńcami, z bandytami, więc mógł się do nich upodobnić.

Iza poczuła wyraźną antypatię do Leszka Kurczyłły. Uwierzyć mu nie uwierzyła, jednak sam pomysł uznała za kompletnie głupi. A jak pomysł, to i pomysłodawcę. Na szczęście nadeszła pora kolacji, więc darowała sobie uszczypliwości i poszła szukać wnuka. Goście przy ogrodowym stole zabrali się do jedzenia.

Barbara Kurczyłłówna, otulona lekkim błękitnym kozykiem, przypominała kruchą, aczkolwiek dość okazałą lalkę. Cerę miała jasną, do złudzenia przypominającą mocno zgnieciony kawałek jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Brązowe oczy rozglądały się wokół żywo i przytomnie. Dla wygody opiekunka posadziła ją na wózku

inwalidzkim. Taki wózek łatwiej było przepchać z domu do ogrodu, łatwiej też staruszkę otulić, a nawet nakarmić kaszką z jabłkami. Danie było pomysłem opiekunki, Haliny Lipki, i wyszło na to, że Lipka spokojnie mogła sobie tę kaszkę zjeść sama. Barbara Kurczyłówna przełknęła dwie pierwsze łyżki, po czym zdecydowanym, choć cichym głosem poprosiła o to, co jedli wszyscy, czyli o kawałek kotleta. Zgodziła się, żeby to był kawałek chudy i drobno pokrojony. Dziobała go potem z wielkim upodobaniem, zagryzając świeżym chlebem.

- A może piwka? - spytał Waldemar, rozglądając się za szklaneczką dla babci.

- To nierozsądna propozycja! - zgromiła go opiekunka.

Posłała śmiałkowi groźne spojrzenie, które natychmiast powinno położyć kres niemądrym żartom. Jednak Waldemar nie żartował i całkiem szczerze chciał się dzielić z seniorką rodu wszystkim, co najlepsze.

- Nie, nie, chłopcze, dziękuję ci za dobre serce, ale dla mnie piwne czasy już minęły. Teraz nawet po dwu łykach mam zgagę - wyjaśniła babcia, po czym skinęła ręką na panią Halinę i poleciła jej, by przyniosła z kredensu kieliszek nalewki pieprzowej.

- Babcia jest okay! - ucieszył się Feliks Kurczyłło, lekarz z dalekiego Bergen w norweskiej prowincji Hordaland.

Halina Lipka i jemu posłała nieprzychylnie spojrzenie.

- W nocy, gdyby co, to pan doktor będzie babcię ratował, bo ja za godzinkę kończę pracę i jadę do domu.

- Wierzy pani, że ten kieliszek nalewki może zaszkodzić? - zdumiał się Feliks.

- Nie mówię o nalewce, tylko o tej spieczonej świni nie - wyjaśniła z godnością Halina Lipka. Postawiła przed babcią kieliszek, a sobie dołożyła kaszki z jabłkami. Kotletów ani skrzydełek nie tknęła.

Barbara Kurczyłówna niewiele sobie robiła z przerażenia opiekunki, chociaż znakomicie słyszała całą rozmowę. Była postępową staruszką, nie wstydziła się okularów ani aparatu słuchowego wmontowanego w oprawkę. Pogawędka z nią byłaby prawdziwą przyjemnością, gdyby nie upierała się tak bardzo przy niektórych opiniach. Kiedy już biesiadnicy zaspokoiли pierwszy głód, popukała kościstym palcem w stół.

- Posłuchajcie, co mam wam do powiedzenia! - zakomunikowała uroczystym tonem. Odczekała, aż się uciszą, i ciągnęła dalej: - Miesiąc temu, za tymi oto krzakami leszczyn, w rodzinnym domu Kurczyłów został otruty mój brat Władysław.

- Babciu, nie wracajmy do tego! - poprosiła Emilka, co znaczyło, że pomysł z nienaturalnym zejściem dziadka nie był dla niej tajemnicą. Wydawała się znużona i przybita.

- Dlaczego babcia uważa, że został otruty? - spytał Leszek.

- Odezwał się detektyw - mruknęła niechętnie Emilka. - Bo tak właśnie uważa, i to musi ci wystarczyć, nawet jeśli jesteś zdania, że dziewięćdziesięciosześcioletni człowiek ma prawo umrzeć bez pytania rodziny o zgodę.

- Nie gadaj, bo ciebie przy tym nie było, a ja byłam! - fuknęła gniewnie Barbara. - Miał swoje lata, to prawda, ale był dziarski i zdrowy. A potem nagle podupał, z dnia na dzień. W sobotę jeszcze z nim rozmawiałam, w niedzielę mnie nie poznał. Oddech miał krótki, urywany, jakby się dusił i - zawiesiła dramatycznie głos - pachniał migdałami. Jest taka silna trucizna, która pachnie migdałami, nazwa wyleciała mi z pamięci...

- Cyjanek - odpowiedział Feliks.

- Możliwe, że cyjanek - przytaknęła Barbara. - Nafaszerowali go cyjankiem.

- Kto? - spytał Leszek.

- Za rękę nikogo nie złapałam! - zachnęła się staruszka. - Ściągnęłam was, bo trzeba złożyć doniesienie do prokuratora, zażądać ekshumacji i przeprowadzić śledztwo, które potwierdzi, że to ja mam rację. Śledztwo powinno też wskazać winnego.

- No, no! - wykrzyknął z podziwem Leszek. - Nasza babcia nieźle się orientuje w kwestiach prawnych.

- Radziła się mecenasa - mruknęła Emilka.

- A owszem! - przytaknęła Barbara. - Mój ojciec, a wasz pradziad mawiał, że do spraw poważnych trzeba podchodzić poważnie. Radziłam się mecenasa... jak mu tam... Przyznał, że wszystko to razem wygląda podejrzanie. Dla niego zaledwie podejrzenie, a ja swoje wiem. Otruli go, żeby szybciej dorwać się do majątku. Ciepłakowie są mocno niecierpliwi. Oczywiście ta Szarłatowa też ma swoje za uszami.

- A co z żoną dziadka? - zdziwił się Feliks. - Powinna jeszcze żyć, nie dostaliśmy wiadomości, że umarła.

Emilka litościwie pokiwała głową. Nie po raz pierwszy miała okazję się przekonać, jak niewielką wagę przywiązują mężczyźni do koligacji rodzinnych. Inna rzecz, że babka Barbara mówiła po swojemu, i Feliks miał prawo się pogubić. Emilka usiadła obok niego i starannie dobierając słowa, żeby nie urazić babki, przypomniała koleje losów Władysława Kurczyłły. Ze swoją pierwszą żoną Julią dziadek przeżył prawie czterdzieści lat, dochował się syna Marka i wnuka Feliksa, tego samego, który teraz siedział obok i potakiwał. O pierwszym małżeństwie dziadka jego najbliższa rodzina wiedziała prawie wszystko. Luki dotyczyły czasów późniejszych, kiedy Władysław Kurczyłło ożenił się powtórnie. Miał wówczas sześćdziesiąt sześć lat, a jego wybranka, Zofia Szarłat, zaledwie czterdzieści cztery. W tym drugim stadle przeżył trzydzieści lat, a więc też szmat czasu. Wydawał się szczęśliwy i nawet rodzona siostra nie zdołała mu wmówić, że było inaczej. Po prostu Barbara Kurczyłłówna nigdy nie uznała drugiej żony brata. Uważała ją za prowincjuszkę odpowiednią na gosposię, ale niegodną miana towarzyszkę życia człowieka wykształconego, kulturalnego, a przede wszystkim dobrze urodzonego. O drugiej żonie brata mówiła „ta Szarłatka” lub „ta kobieta”. Jeszcze większą odrazą przejmowała ją córka Szarłatowej, zwana nie wiadomo czemu Mirabelką, i jej mąż Maciej, czyli Ciepłakowie, od trzydziestu prawie lat znieawidzeni sąsiedzi.

- Ci Cieplakowie to rzeczywiście takie straszne gady? - spytał Leszek.

Głos miał tubalny i nawet nie próbował go ściszyć. Zdziwił się bardzo, kiedy Iza Bulwicka przyłożyła palec do ust i oczami wskazała na leszczynowy żywopłot.

- Mówiliście, że tam nikogo nie ma! - bronił się Leszek wciąż tym samym dźwięcznym basem.

- Bo nie ma - uspokoił go Jacek Bulwicki. - Cieplakowie z matką wyjechali na jakąś rodzinną uroczystość, bodaj na ślub kuzynki.

- Wyjechali, ale nie wiem, czy nie wrócili - zauważyła cicho Iza. - Z całą pewnością ktoś się płacze wokół domu. I Głupol cały czas szczeka.

- A kiedy on nie szczeka? - zdziwił się Jacek.

Iza niecierpliwie machnęła ręką.

- Szukając Daniela, zapuściłam się aż pod płot i wyraźnie słyszałam Cieplaka. Trudno nie poznać jego głosu, bo skrzeczy niczym przyduszony paw. I tak właśnie skrzeczał. Tłumaczył komuś, że pieniądze nie są najważniejsze. Dla niego są, więc widocznie mówił o kimś innym - wyjaśniła.

- Przyduszony paw? - roześmiał się Leszek Kurczyłło. - Dzięki tej informacji jedno wiemy na pewno: pani Iza nie znosi Macieja Cieplaka. Zgadłem?

Milcząca dotąd babka Barbara nagle się ożywiła.

- Jego nikt nie znosi - stwierdziła z mocą. - Jacek świadkiem. Jakiś czas temu nie posłuchał mnie, zadał się z Cieplakiem i na własnej skórze doświadczył, co to za kanalia. A uprzedzałam go, oj, uprzedzałam!